
WROCLAW SIĘ ZMIENIA

Ewakuacja Niemców * Sępólno * Pochód 1-Majowy * Biuro Planu Wrocławia * Stenogram Zjazdu Architektów RP

W kwietniu 1946 r. trwała jeszcze, rozpoczęta w październiku 1945 r., akcja przesiedlania ludności niemieckiej z Wrocławia do radzieckiej i brytyjskiej stref okupacyjnych. Fakt ten stwierdziłem w czasie przejazdu do Kępna przez Wrocław po maturze w Wałbrzychu. Przesiadaliśmy się wówczas z Dworca Świebodzkiego na „Nadodrze”. Bowiem właśnie z Dworca Świebodzkiego odjeżdżały pociągi ewakuacyjne z przesiedleńcami. Widziałem taki załadunek ludności niemieckiej do podstawionego pociągu ewakuacyjnego, złożonego z krytych wagonów towarowych. Niemcy przeladowywali do nich swoje rzeczy z wózków, na których je przywieźli.

Mój kolega Tadek machał złośliwie i z satysfakcją ręką na pożegnanie nieszczęśliwym wysiedleńcom, opuszczającym swe miasto rodzinne. Ale Tadek nie wyróżniał się szczególną wrażliwością na ludzką niedolę i nieszczęście. Miał twardy charakter, może dlatego został później cenionym chirurgiem i dyrektorem dużego szpitala powiatowego.

Organizacja wysiedleń odbywała się bardzo sprawnie i realizowana była w całości przez samych Niemców. Terminy ewakuacji kolejnych ulic, kwartałów i rejonów miasta ustalane były z dużym wyprzedzeniem. W określonym dniu mieszkańcy wyznaczonych ulic ładowali swe rzeczy, jakie byli w stanie zabrać, na ręczne wózki i po uformowaniu kolumny maszerowali z nimi na Dworzec Świebodzki.

Te kolumny wózków, ciągniętych przez starszych ludzi z białymi opaskami na ramionach, były przez wiele miesięcy charakterystyczne dla krajobrazu Wrocławia. Przy czym szczyt przesiedleń miał miejsce w okresie XI.1945 - IV.1946 r. Nie podlegali wysiedleniom jedynie Niemcy, zatrudnieni w przedsiębiorstwach komunalnych miasta i specjaliści w uruchamianych fabrykach i obiektach użyteczności publicznej. Wraz z rodzinami mieszkali oni we Wrocławiu często przez wiele jeszcze lat.

Po ponownym przyjeździe do Wrocławia, tym razem zamieszkałem u siostry na Sępólnie w mieszkaniu, na które otrzymała przydział w czasie mej bytności we Wałbrzychu. Mieszkanie składało się z 3 pokoi, włącznie kuchennej, przedpokoju oraz łazienki. Zajmowałem najmniejszy, wygodny pokój o powierzchni niespełna osiem metrów kwadratowych.

Całe osiedle Sępólno stanowiło rozległy kompleks ulic, zabudowanych najwyżej trzykondygnacyjnymi, powtarzalnymi, lub podobnymi do siebie budynkami mieszkalnymi. Zrealizowane zostało w latach dwudziestych w ramach państwowego, masowego, standardowego budownictwa mieszkaniowego w sposób kompleksowy ze sklepami, dużą szkołą podstawową, kinem i kościołem.

Osiedli podobnych było we Wrocławiu więcej, co świadczyło o dużej koniunkturze budowlanej w mieście w tamtym okresie. Niestety w wyniku działań wojennych wszystkie te peryferyjne na ogół osiedla, podobnie jak dzielnice centralne, zostały w znacznym stopniu zniszczone i spalone. Sępólno może ucierpiało najmniej, bo w około 50 procentach. Stąd osiedle to jako pierwsze zostało zasiedlone przez Polaków i stosunkowo szybko później odbudowane.

W czasie mej trzymiesięcznej nieobecności w mieście sporo się zmieniło. Przede wszystkim rozrosła się znacznie sieć linii tramwajowych. Tramwaje docierały już też do Sępólna i była to niewątpliwie najdłuższa czynna linia w mieście. Dochodziła do Biskupin, do skrzyżowania Wilhelmshafenerstrasse (ul. K. Olszewskiego)

z ul. Spółdzielczą.

Poza tym funkcjonowały jeszcze dwie dalsze linie tramwajowe: jedna łącząca dworce Nadodrze i Główny, zaś druga prowadziła od Rynku Głównego do skrzyżowania ul. Legnickiej ze Strzegomską, na którym to skrzyżowaniu był duży, okrągły bunkier schronu przeciwlotniczego. Nawiasem mówiąc, takich identycznych, potężnych schronów widziałem jeszcze trzy w innych lokalizacjach Śródmieścia.

Motorniczymi tramwajów, a często i bileterami, byli wtedy przeważnie Niemcy. W stosunku do Polaków byli oni na ogół bardzo służalczy i pokorni. Normalnym zjawiskiem było, że gdy Polak stanął na szynach i pomachał ręką, to motorniczy przyhamowywał, a nawet zatrzymywał wóz, aby tenże mógł wsiąść do tramwaju.

W różnych punktach miasta zaczęły wyrastać rusztowania przy odbudowywanych obiektach. Tak więc, po łataniu dachów i szkleniu okien, odbudowa miasta weszła w kolejną fazę remontów kapitałnych i rekonstrukcji poszczególnych budynków.

Zacząło się też sporo dzieć w rejonie starego miasta na obszarze pomiędzy Dworcem Głównym i ulicą K. Świerczewskiego a Odrą. Pojawiły się tam pierwsze urzędy, sklepy, zamieszkałe budynki, zaś ulice zostały oczyszczone z gruzów. Kiedy po raz pierwszy wyprawilem się na Rynek Główny w sierpniu 1945 roku, to zastałem tam absolutne ruiny i martwość i tylko w jednym punkcie tliło się wówczas nędzne życie. Był to sklepik spożywczy w parterze wypalonego budynku na rogu Rynku i Placu Solnego.

Odbudowa Starówki niosła ze sobą wiele szczególnych trudności. Między innymi dotyczyły one niezmiernie pracochłonnych robót kamieniarskich. Bardzo dużo kamieniarki występowało zwłaszcza w Ratuszu i wszystkich obiektach sakralnych. Na przykład, na placyku przed katedrą leżały dziesiątki przeróżnych kamiennych elementów filarów, pilastrów, łuków i portali, obrabianych cierpliwie przy pomocy dłut i młotów przez dziesiątki kamieniarzy. Tak myślę, że obecnie, w ostatnich latach XX-wieku, nie ma już praktycznie możliwości renowacji tego rodzaju obiektów jak wrocławska Katedra. Po prostu trudno nawet wyobrazić sobie chętnych do ciężkiego zawodu kamieniarza.

Ruszyła również odbudowa niektórych zakładów przemysłowych miasta. Prym w tym względzie wiodła Państwowa Fabryka Wagonów, uruchomiona już w październiku 1945 r. Zadecydowały o tym palące potrzeby transportu węgla kamiennego z ocalałych kopalń śląskich do portów morskich w Gdyni i Szczecinie. Na węgiel było wtedy wielkie zapotrzebowanie w całej Europie, płacono zaś gotówką w dolarach amerykańskich. A te były gospodarce polskiej potrzebne jak deszcz na wiosnę. Brakowało jednak sprawnych portów i wagonów kolejowych. Nabrzeża węglowe w portach zostały w krótkim czasie odbudowane, zaś produkcję wagonów-węglarek rozpoczęto na dużą skalę w wielkiej, zrujnowanej fabryce czołgów w zachodniej dzielnicy przemysłowej Wrocławia. Te pierwsze węglarki były prymitywne, z drewnianymi skrzyniami, lecz wytwarzano je seryjnie w tysiącach egzemplarzy. Wkrótce, w ciągu kilku miesięcy, pojawiły się na wszystkich szlakach kolejowych kraju.

Lecz, jako całość, Wrocław nadal jawił się jako morze gruzów i nadal niektóre dzielnice, zwłaszcza południowe, były prawie bezludne. Nie było też w mieście bezpiecznie. Zdarzały się liczne kradzieże, napaści na pojedynczych przechodniów, nie brak było nadal amatorów szabru, zlatujących się jak sępy z całego kraju.

Przy przechodzeniu z kolegami w Dworca Nadodrze na Świebodzki szliśmy zawsze środkiem ulic, w pewnej odległości od siebie, by uchronić się od nagłej napaści z ruin domów. W tym też czasie w Parku Nowowiejskim zabity został jeden z moich kolegów z pierwszej klasy licealnej, prawdopodobnie na tle rabunkowym. Ale różne napady i zabójstwa miały miejsce także na tle porachunków osobistych i politycznych. Ja zawsze przy takich zdarzeniach myślałem o zwierzeniach jednego z moich kolegów licealnych. Opowiadał mi, że zdezerterował z podziemnej organizacji NSZ w Kieleckiem, nie go-

dząc się z jej działalnością terrorystyczną, i że boi się zemsty.

W dniu robotniczego Świąta 1-Maja byłem uczestnikiem-widzem pierwszego pochodu ulicami Wrocławia. Oglądałem go, stojąc obok góry gruzów, na której usadowił się tłumek, takich jak ja, gapiów. Pochód nie był zbyt okazały, jeśli przyrównać do późniejszych manifestacji pierwszomajowych. Szeregi liczyły nie więcej niż 6-8 osób. Zapamiętałem natomiast pewien szczegół, który nigdy później nie miał miejsca. Mianowicie, gdy już właściwie pochód miał się ku końcowi, gdzieś w znacznej odległości widać jeszcze było jakąś maszerującą grupę. Kiedy zbliżyli się, można było zorientować się po sztandarach i transparentach, że są to członkowie i sympatycy Polskiego Stronnictwa Ludowego St. Mikołajczyka. Tym dystansem od głównego trzonu pochodu prezentowali swą opozycyjność do aktualnych władz kraju. Powitały ich gwizdy i okrzyki „Precz z reakcją!” itp. ze strony tej grupy na gruzach. Był to okres zapoczątkowania szerokiej propagandy i sporów na temat pytań referendum ludowego, rozpisanego na dzień 30.VI.1946 r. Przedmiotem referendum było wypowiedzenie się obywateli w trzech kwestiach ogólnonarodowych. Za lub przeciw: likwidacji Senatu, wpisania do Konstytucji reformy rolnej i nacjonalizacji gospodarki, oraz utrwalenia granic Polski na Odrze i Nysie Łużyckiej.

Opozycyjne PSL wzywało do głosowania NIE na pierwsze pytanie, niektóre inne ugrupowania opozycyjne były nawet za głosowaniem 3 razy NIE. Partie rządzące wysuwały oczywiście hasło głosowania 3*TAK. Takie też napisy, wypisane białą farbą, pojawiły się we wielkiej ilości na murach Wrocławia i całego kraju. Część z nich przetrwała potem przez wiele lat. Pozwólmy sobie na dygresję i spróbujmy dziś, z perspektywą 50 lat od ówczesnego referendum, ocenić tamte trzy pytania.

1. Czy z Senatem, czy bez Senatu - nie miało to żadnego istotnego znaczenia. Plusy równoważą się z minusami. Remis.

2. Upaństwowienie gospodarki narodowej pozwoliło na szybką jej odbudowę i budowę nowego, ogromnego potencjału przemysłowego. Natomiast dziś, w dobie postindustrialnej, co raz bardziej ujawniają się negatywne efekty nadmiernej centralizacji zarządzania gospodarką. Tak więc wielkie plusy przechodzą w minusy.

Parcelacja ziem obszarnczych była spełnieniem odwiecznych marzeń o sprawiedliwości społecznej na wsi. Dziś ciąży coraz dokuczliwiej rozdrobniona struktura indywidualnych gospodarstw rolnych. Czyli wczorajsze plusy i uciążliwe minusy na dziś.

3. Natomiast integracja Ziem Zachodnich w ramach Polski, kosztem wschodnich kresów - jeśli nie liczyć emocjonalnych resentymentów, to same plusy. Przede wszystkim gospodarcze i cywilizacyjne. Zaś z upływem lat widać wyraźnie, że gdybyśmy zostali w przedwojennych granicach, to mielibyśmy dziś swoją „Jugosławię” jak amen w pacierzu.

Oczywiście to trzecie pytanie uzyskało w referendum powszechną aprobatę, na drugie odpowiedziała pozytywnie znaczna większość głosujących obywateli, przy 85 procentowej frekwencji. Natomiast pytanie pierwsze przeszło tylko nieznaczną większością głosów. Jedynie w Krakowie zdecydowana większość głosujących na to pytanie odpowiedziała negatywnie, co zaowocowało okrzyknięciem tego miasta jako „Ciemnogrodu”. Od tego też czasu w cotygodniowym „Przekroju” na ostatniej stronie zamieszczana była przez kilka lat rysunkowa satyra na grubego krakowskiego Bęcwałskiego.

Od 2 maja rozpocząłem pracę w Regionalnej Dyrekcji Planowania Przestrzennego we Wrocławiu. Instytucja mieściła się w sporym, już częściowo odremontowanym, 5-piętrowym budynku przy ulicy Ofiar Oświęcimskich w Śródmieściu, w pobliżu Rynku Głównego.

Funkcjonowała już kilka miesięcy i akurat organizowano w jej ramach Biuro Planu Wrocławia pod kierunkiem inż. architekta Tadeusza Ptaszyckiego. Do tego biura właśnie zostałem zaangażowany. Przy przyjęciu byłem poddany egzaminowi, który polegał na przerysowaniu grafionem, piórkim i tuszem sporego fragmentu planu geodezyjnego. Nikt mi nic nie doradzał, ani pomagał, a jedynie oceniono gotową pracę. Wypadła pozytywnie i zostałem kreślaczem w pracowni projektowej BPW RDPP we Wrocławiu.



T. Ptaszycki

Inżynier Ptaszycki, przedwojenny architekt, wojnę spędził w Niemczech, w oficerskim obozie jenieckim w Woldenbergu. W ostatnich miesiącach 1945 r. zamieszkał we Wrocławiu, do którego w roku następnym przybyła również jego żona Anna z 7-letnią córeczką. We Wrocławiu współpracował przy organizowaniu biura RDPP. Ale przede wszystkim wspiął się we Wrocławiu jako generalny projektant przebudowy miasta. Opracowany przez niego pierwszy ogólny plan odbudowy Wrocławia był już gotowy w połowie 1946 roku.

Byłem zatrudniony w pracowni arch. Haliny Skibniewskiej. Jej mąż, również architekt i urbanista, był współorganizatorem Biura Odbudowy Stolicy, zaś później w ogóle kierował pracami nad planem urbanistycznym Warszawy. Od czasu do czasu przyjeżdżał do Wrocławia na konsultacje planu odbudowy miasta. Niejednokrotnie byłem świadkiem długich debat, jakie prowadził z inż. Ptaszyckim.

Pierwsze dni i tygodnie pracy upłynęły mi głównie na kolorowaniu na niebiesko, kredkami lub akwarelą, rzek i zbiorników wodnych na podkładowych mapach Wrocławia w skali 1:10000 i 1:5000. A tej Odry, Oławy, Widawy, Ślęzy, kanałów, fos, stawów we Wrocławiu jest niemało. Wystarczy powiedzieć, że w mieście jest ponad 20 wielkich mostów, natomiast pomniejszych trzy razy tyle.

Jednak wkrótce otrzymałem bardziej odpowiedzialną pracę. Wraz z moim kolegą Zbigniewem Bodakiem mieliśmy zadanie przeprowadzić inwentaryzację stanu istniejącego południowych dzielnic Wrocławia. Polegało to na tym, że w dwójkę przemierzaliśmy, wg z góry ustalonej marszruty, ulica za ulicą, i na posiadanych roboczych planach nanosiliśmy aktualny stan techniczny poszczególnych obiektów przez określenie procentowego stopnia zniszczenia. Potem na planach wynikowych zaznaczaliśmy ten stan budynków w kolorach od żółtego do ciemnobrązowego. Niestety, na mapach tych dzielnic, które inwentaryzowaliśmy, przeważały ciemne tonacje brązu.

Nanosiliśmy też na mapy wszelkie przejawy zagospodarowania budynków, ich zamieszkanie, odbudowane warsztaty, sklepy itp. Ta praca zajęła nam wiele tygodni. Organizowaliśmy ją w ten sposób, że w pogodne dni przeprowadzaliśmy inwentaryzację w terenie, zaś w słotne wykonywaliśmy prace kameralne.

Penetrowaliśmy głównie rejon Alle des S.A. (późniejsza Al. Powstańców Śląskich). Praktycznie była to wówczas prawie całkowicie zrujnowana i bezludna dzielnica. Znajdowało się tam wiele reprezentacyjnych gmachów. Między innymi, przy dużym, okrągłym placu, oglądałem okazałą salę kinową, w jakiej z części obszernych foteli ktoś wcześniej zdarł piękne, czerwone obicia. Musiało to być bardzo eleganckie kino.

W ruinach jakiegoś wielkiego biurowca wygrzebałem ze sterty papierzyśk sporą książkę z tablicami logarytmicznymi. Miały one siedmiocyfrowe mantysy i posługując się nimi można było uzyskiwać bardzo duże przybliżenia w obliczeniach matematycznych. Książka ta przydała mi się na studiach. Chodzenie po ruinach nie było całkiem bezpieczne, ale obyło się bez jakichkolwiek niespodzianek.

Później towarzyszyliśmy dyr. Ptaszyckiemu w jego prelekcjach, w których prezentował ogólny plan odbudowy i zagospodarowania Wrocławia. Plan opracowany był z rozmachem, zaś jego twórca stał się bardzo popularny w mieście. Pamiętam tytuł z

pierwszej strony lokalnej gazety codziennej „Inżynier Wrocław ma głos”. Była to recenzja z wykładu na temat kierunków odbudowy miasta. To określenie „Inżynier Wrocław” przyłgnęło do inż. T. Ptaszyckiego na kilka lat.

Pamiętam też, chyba najpoważniejszą prelekcję w wielkiej sali Opery Wrocławskiej. Sala pełna widzów tonęła w półmroku. Oświetlona reflektorami była jedynie scena z inż. Ptaszyckim, trzymającym długi wskaźnik w rękę i stojącym przed ekranem, na którym wyświetlane były zdjęcia i fragmenty planów. My, dwaj kreślarze, czuwaliśmy przy epidiaskopie i na stuknięcie wskaźnikiem w scenę, zmienialiśmy projekcję epidiaskopu.

Największym wydarzeniem w czasie mej pracy w RDPP był niewątpliwie Zjazd Architektów RP, jaki został zorganizowany przez dyr. Ptaszyckiego latem 1946 r. Był to jakby zlot gwiazdzisty wszystkich liczących się architektów i urbanistów Polski, którym przypadła rola głównych planistów odbudowy miast i regionów kraju ze zniszczeń wojennych.

Zjazd trwał przez 6 dni, z czego 3 dni we Wrocławiu, natomiast po jednym dniu w Wałbrzychu, Cieplicach i Karpaczu. Organizacja całości była bardzo sprawna. Kolumnę dwóch autokarów i dziesięciu samochodów osobowych pilotował samochód terenowy wg z góry przygotowanej trasy. Wszędzie były zarezerwowane noclegi w hotelach, posiłki w ekskluzywnych restauracjach i sale na wykłady plenarne, które zajmowały większość czasu we wszystkie dni zjazdu.

Wykłady, a także referaty, dotyczyły planów odbudowy i rozbudowy szeregu miast oraz ośrodków kraju i połączone były z koreferatami i ogólnymi dyskusjami. Głównym tematem były plany odbudowy Warszawy oraz Wrocławia. Ale również, chyba po raz pierwszy, w szczegółowy sposób i w gronie fachowców, przedstawione zostały między innymi: plany śródmiejskiej, szybkiej kolei łączącej Gdańsk, Sopot i Gdynię oraz Wojewódzkiego Parku Kultury i Wypoczynku w Chorzowie. Obie te inwestycje uzyskały wysoką ocenę w dyskusji i rzeczywiście niedługo weszły w fazę realizacji.

Ja również brałem udział w zjeździe, byłem bardzo aktywnym uczestnikiem, tyle że nie jako kreślarz oczywiście, ale jako stenograf. Siedziałem zawsze obok stołu prezydiального i skrupulatnie notowałem wszystkie wypowiedzi w dyskusjach i te referaty, które nie były przygotowane na piśmie. Potem, długo jeszcze po plenarnych posiedzeniach, przepisywałem moje stenograficzne zapiski, z niewielkimi skrótami, na normalne, ludzkie pismo i już za dzień-dwa doręczałem swemu pryncypałowi.

To co szczególnie zapamiętałem ze zjazdu, to przepiękną barokową salę w Ratuszu w Wałbrzychu, ozdobioną lustrami, rzeźbami i sztukaterią. Również rozmowy wieczorem w hotelu w Parku Zdrojowym w Cieplicach z niezwykle sympatycznym architektem, i jednym z najlepszych rysowników w Polsce, inż. Z. Stępińskim, późniejszym twórcą wielu obiektów i osiedli warszawskich. Oraz galowy obiad w pensjonacie „Patria” (obecna nazwa) w Karpaczu. Opiszę w skrócie ten bankiet.

Na salę konsumpcyjną wchodziło się wewnętrznymi, szerokimi schodami. Na górze, za stolami ułożonymi w podkowie, stali w długim szeregu niemieccy kelnerzy w liberjach. Stoły, jak i cała sala, ozdobione były kwiatami. Do wystawnego obiadu grała cicho orkiestra, zaś w trakcie deseru i po obiedzie można było zatańczyć na parkiecie. Uczestnicy zjazdu zapewne byli poinformowani o uroczystym charakterze obiadu, więc panie wystąpiły w odpowiednich toaletach, natomiast panowie w garniturach. Ja byłem zaskoczony i nieśmielony wystawnością przyjęcia, ale i tak kilka razy zatańczyłem.

To przynajmniej umiałem nieźle, gdyż lekcje tańca pobierałem całkiem niedawno we Wrocławiu, w trakcie uczęszczania do pierwszej licealnej, nie byle gdzie, bo na kursach tańca towarzyskiego u prof. M. Wiczystego. Był to pierwszy kurs taneczny, jaki

zorganizował po wojnie prof. Marian Wieczysty, później uznany i sławny specjalista w tej dziedzinie. Zwłaszcza od czasu jego pobytu w Krakowie, dokąd przeniósł się po kilku latach z Wrocławia.

Przez pewien czas pracowałem przy porządkowaniu jakichś materiałów bezpośrednio w dużym gabinecie dyr. Ptaszyckiego. Byłem w związku z tym świadkiem podejmowania przez niego różnych interesantów, w sprawach związanych z remontami czy nowymi inwestycjami w mieście, na jakie niezbędna była jego zgoda i opinia.

Kilka razy wykonywałem jakieś pomocnicze prace rysunkowe w mieszkaniu mego szefa. Zajmował dużą willę niedaleko Parku Szczytnickiego, w której dwa największe pokoje przegrodzone były przesuwną ścianką działową. Tam była urządzona pracownia projektowa. Również żona T. Ptaszyckiego była architektem, specjalizowała się w projektowaniu zieleni miejskiej. Już wtedy zbierała materiały do książki, którą opracowała ostatecznie w 1949 r. pt. „Przestrzenie zielone w miastach”.

W jakiś dzień sierpniowy wybrałem się wraz ze swym kępińskim kolegą Bronkiem do Oporowa na skraju południowej dzielnicy Wrocławia. Odwiedziliśmy tam naszego wspólnego kolegę, też absolwenta gimnazjum w Kępnie, który nas od dłuższego czasu do siebie zapraszał. Kończył bowiem aktualnie remont swej pięknej, dużej willi i z tej okazji przyjął nas serdecznie i odpowiednio po kawalersku ugościł.

Mieliśmy nieco „w czubie”, gdy zdecydowaliśmy się na realizację drugiego celu naszej wyprawy do Oporowa. Mianowicie zrujnowane wokół wille otoczone były dużymi sadami z dorodnymi jabłoniąmi. Postanowiliśmy wypełnić swe walizy jabłkami w jednym z takich sadów, wcześniej przez nas wypatrzonym. Myśleliśmy bowiem, iż jest bezpieczny i bez naszej interwencji piękne jabłka się zmarują.

Jednakże już na początku naszego „owocobrania” na drugim końcu działki rozległ się krzyk i złorzeczenia jakiegoś staruszka oraz wściekłe ujadanie ogromnego wilczura, który wnet wychynął wśród drzew. Chyba nigdy w życiu tak szybko nie uciekałem i nie przeskakiwałem płotów, wysypując zresztą z walizy wszystkie zerwane wcześniej jabłuszka.

Po kluczeniu znaleźliśmy się z powrotem w willi kolegi. Niespodziewanie zrobiło się późno i zmrok, zaś do przystanku tramwajowego na ul. Grabiszyńskiej było bardzo daleko i droga prowadziła przez bezludzie i cmentarz. Baliśmy się więc powracać tak późną porą, bo nie było to wówczas bezpieczne. Przenocowaliśmy wobec tego u kolegi.

Rano moja siostra, zaniepokojona tym, że nie wróciłem na noc do domu, wybrała się do mego biura. Myślała, że może wprost pojechałem rano do pracy lub, że będą tam wiedzieć gdzie jestem. Nic z tych rzeczy. Zgłosiła więc moje „zaginienie” dyrektorowi. Od razu przydzielił siostrze samochód do dyspozycji i zarządził odpowiednie poszukiwania telefoniczne. Ale zanim ta akcja poszukiwawcza się na dobre rozwinęła, zjawiłem się w pracy i wszystko skończyło się tylko na strachu.

W ogóle, to byłem w jakimś stopniu pupilkiem dyr. Ptaszyckiego. Pierwszy doradził mi też studia architektoniczne. Zaś Zjazd Architektów RP, jaki zorganizował i na który mnie zabrał, był wspaniałym argumentem za takimi studiami.

W połowie roku pojechałem w ramach delegacji służbowej do Warszawy. Miałem dostarczyć jakieś materiały do Biura Odbudowy Stolicy. BOS mieściło się wtedy w prowizorycznych, drewnianych barakach, zagęszczonych do granic możliwości przez projektantów i kreślarzy, opracowujących plany i projekty remontów i nowych obiektów dla Warszawy.

O tym, jak bardzo praca ich była niezbędna, przekonałem się, zwiedzając przez wiele godzin centralne dzielnice miasta. Warszawa była potwornie zrujnowana, jeszcze bardziej niż Wrocław, zaś na pewno inaczej. We Wrocławiu przeważały wypalone

szkielety domostw, Warszawa zaś prezentowała się jako morze gruzów. Jedynie prawobrzeżne dzielnice zachowały się prawie w całości, ale Praga była zaniedbana i chaotycznie zabudowana.

Zadziwiały szpalery sklepów i sklepików funkcjonujących w parterach zrujnowanych domów przy ul. Marszałkowskiej i Alejach Ujazdowskich.

W 1945 i 1946 r. fascynowałem się spektaklami operowymi. Po częściowym remoncie Opera Wrocławska rozpoczęła swą działalność we wrześniu 1945 roku. Pierwszym spektaklem, wystawionym w operze była „Halka” St. Moniuszki. Kolejną premierą (XII.45) był „Cyrulik Sewilski”, w którym partię Rozyny śpiewała swym wspaniałym sopranem koloraturowym znakomita Ewa Bandrowska-Turska. Występy jej były przyjmowane przez publiczność bardzo gorąco. Opera wrocławska stała się niewątpliwie centralnym ośrodkiem kulturalnym Wrocławia w tym pionierskim okresie. Jej organizatorem i dyrektorem był wtedy Stanisław Drabik.



Opera we Wrocławiu. Stan obecny

Pamiętam też wystawianą wówczas operę „Rigoletto”, arcydzieło Giuseppe Verdiego. Główną rolę żeńską kreowała w nim Ada Sari, światowej sławy śpiewaczka sopranowa. Publiczność oczarowana fantastycznym głosem primadonny, zmuszała ją do wielokrotnych bisów. Ale był i mały, niezamierzony epizod komiczny. Gdy trefnił Rigoletto ciągnął worek ze zwłokami swej ukochanej córki, której rolę grała właśnie Ada Sari - na sali rozległ się zrazu cichy, potem głośniejszy, spontaniczny śmiech. Otóż worek był mały i niepokaźny i w żadnym razie nie odpowiadał, raczej obfitym, gabarytom wspaniałej śpiewaczki. Sądzę, że scenograf spektaklu w następnym przedstawieniu zreflektował się i uzupełnił odpowiednio zawartość owego rekwizytu.

Najbardziej czytany przeze mnie w 1946 r. czasopismem był „Przekrój” krakowski. A to głównie za sprawą cyklu artykułów Edmunda Osmańczyka pt. „Sprawy Polaków”. Osmańczyk, pisząc o bieżących sprawach geopolitycznych, oceniał stan i położenie Polski i Polaków, zwłaszcza w aspekcie zmian, mających miejsce w Europie w wyniku zakończonej wojny i sytuacji powojennej.

Mocno akcentował wielką szansę dla Polski, jaką dawało oparcie się państwa na starych piastowskich granicach na Odrze i pozbycie się ziem wielonarodowościowych na wschodzie, wraz z obłądnymi, samobójczymi koncepcjami „Polski od morza do morza”, „Przedmurza chrześcijaństwa” itp. Uporczywie nawoływał do wysiłku „mózgów i mięśni”, aby odrobić dystans cywilizacyjno-gospodarczy, dzielący nas od Europy.

Ostrzegał, że jeśli nie dorównamy pracowitością Niemcom, to pomimo ich klęski wojennej, świat zlekceważy nasze racje i odwróci się od Polski. Podzielałem poglądy Osmańczyka, zwłaszcza że pokrywały się z moimi własnymi odczuciami i obserwacjami w czasie pobytu na Śląsku, w Tarnopolskiem, Poznańskim i na Ziemiach Zachodnich, we Wrocławiu i Wałbrzychu.